

NAJBARDZIEJ TAJEMNICZY
GENIALNY SERYJNY MORDERCA



ZODIAK

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ



ZODIAK

FILIA

Dla Dominiki D. „Didi” – coby umiliła kolejne loty

„Była młoda i piękna. Teraz jest pobita i martwa.
Nie jest pierwszą i nie będzie ostatnią”*

* Fragment listu Zodiaka z 29 listopada 1966 roku [tłum. własne autora].

1.

SAN FRANCISCO, WRZESIEŃ 1966 R.

Nie przeżył nikt.

Zastanawiam się nad tym zdaniem. Staram się je odczytać tak, jakby zrobił to dowolny czytelnik.

„Nie przeżył nikt”. A może lepiej brzmiałoby: „Zginęli wszyscy z nich”. Krócej. „Zginęli wszyscy”. Czy jest w ogóle sens rozważać taką głupotę? Oczywiście, że tak. Właśnie na tym polega różnica między uczciwym autorem a tandeciarzem, który po prostu chce odbębnić swoją robotę, sprzedać kolejne opowiadanie i zapomnieć o całej historii.

Ja jestem uczciwy. Analizuję swoje emocje i karmię nimi odbiorców. Jeżeli zostawię pierwotną wersję, w wyobraźni czytelników pojawią się okaleczone zwłoki. Natomiast słowa „zginęli wszyscy” przywiodą raczej obraz samego zabijania. Jedno zdanie jest statyczne, drugie dynamiczne. Czujecie różnicę? Ja tak, ale być może to kwestia szóstego zmysłu, talentu albo boskiego tchnienia. Jak by

tego nie nazywać, czasem jest to problematyczne. Cholera!

Jak najlepiej byłoby zakończyć soczyste, mocne opowiadanie? Zdarza się, że nad tymi kilkoma wyrazami ślęczę wiele dni. Mam je gotowe, ale nie mogę się zdecydować na żadne z nich. Prawdopodobnie to również kwestia świadomości rozstania się z tekstem oraz z bohaterami. Gdy postawię ostatnią kropkę, znów dobiegnie końca jakiś etap mojego życia. Nie zawsze tego chcę.

Zdarza się, że czuję odrazę przed wysłaniem opowiadania do wydawcy. Dzielenie się własną wyobraźnią to forma szlachetnej prostytucji. Ni mniej, ni więcej. A gdybym tak zostawił te obrazy tylko dla siebie? Albo gdybym podzielił się nimi znacznie bardziej bezpośrednio niż w kolejnej książce?

Przyśpieszam kroku. Idę wąską uliczką między niskimi, murowanymi domami północnego San Francisco. Jest ciepły wieczór. Promienie zachodzącego słońca wydają się rozświetlać wszystko na czerwono. Jediną osobą w pobliżu jest krocząca przede mną blondynka. To zgrabna kobieta ubrana w ołówkową spódnicę oraz elegancką białą koszulę. Ma długie nogi i stawia kroki niemal w jednej linii.

Przez uchylone okno jednego z mieszkań dobiega mnie charakterystyczna czołówka popularnego

serialu. A więc właśnie minęła siódma. Wszystko odbywa się z niezmienną regularnością.

Blondynka za cztery minuty skręci na jedną z klatek schodowych. Wejdzie na pierwsze piętro, gdzie drzwi otworzy jej mężczyzna samotnie wychowujący czteroletnią córeczkę. Romans? Nie, nie. Nie doraabiajcie do tego zbyt wielkiej ideologii. Kobieta jest opiekunką, która dostaje marne grosze za czterogodzinne zajmowanie się dzieckiem. W tym czasie mężczyzna będzie dorabiał jako parkingowy w jednym z pobliskich klubów. Trywialne, może nawet nieco smutne, ale prawdziwe.

O tym wszystkim dowiedziałem się, podsłuchując rozmowę w sklepie. To w nim przed paroma dniami po raz pierwszy spostrzegłem blondynkę, a potem za nią poszedłem. Prowadził mnie instykt, którego nie potrafiłem pohamować. Wróc. Ja wcale nie chciałem go pohamować, a to istotna różnica.

W tym momencie po jednej stronie uliczki ciągnie się drewniany płot, a po drugiej wysokie rusztowanie zasłonięte zieloną siatką. Poza mną oraz blondynką nie ma tu żywej duszy. Ciekawe, czy kobieta wyczuwa moją obecność? Czy słyszy moje kroki? Nie chcę jej spłoszyć, więc poruszam się najciszej, jak to możliwe.

Pod długą marynarką ukrytą mam kaburę. Prawą dłoń trzymam na rękojeści pistoletu. Już prawie zapomniałem

o dylemacie dotyczącym ostatniego zdania opowiadania. Zagłuszam go nuconą w myślach wyliczanką.

Zabić ją czy nie?

Gładzę zimną stal.

Zabić ją czy nie?

Podnoszę klapkę zapinaną na nit i chwytam broń.

Zabić ją czy...

2.

Nie jestem jednym z tych seryjnych morderców, których znacie, o których już czytaliście i których zdaje się wam, że rozumiecie. Człowiek nie rozumie swojego szefa i żony, a wy chcielibyście przeniknąć moją duszę? Wolne żarty. Dowiedcie się tylko tyle, ile sam zechcę. To ja będę waszym panem.

Zabić ją czy nie? Jak myślicie, co zrobić?

Nie podejmuję decyzji.

Jeszcze jest czas. Uliczka ciągnie się przez ponad sto metrów, a po obu jej stronach znajdują się jedynie pustostany. Niemalże nikt nią nie chodzi. Blondynka pokonuje ją, aby skrócić sobie drogę. Jest młoda i lekkomyślna. Aby zarobić parę dolarów, ryzykuje życiem, choć pewnie wcale o tym nie myśli. W tym wieku człowiek odgania od siebie wszystko, co złe.

A zło nas otacza i wylewa się z każdego zakamarka tego cholernego świata. Choć pewnie jest również kwestią perspektywy. Czy jeśli ją zabiję, zrobię coś złego? Jak dla mnie absolutnie nie. O ile nie popełnię błędu i nie zostanę złapany.

Zabić ją czy nie?

Przez trzy lata odpowiedź nieustannie była ta sama. Ale nie zawsze...

Przed oczami staje mi wieczór 4 czerwca 1963 roku. Pamiętam z niego każdą minutę, każdą sekundę. Wryły mi się w pamięć niczym fragmenty filmu oglądanego dziesiątki razy. Owszem, przez ostatnie miesiące wracałem do nich regularnie i z perwersyjną przyjemnością.

Zaciskam dłoń na rękojeści tego samego pistoletu, który mam teraz w kaburze. Idę przez pustą plażę obmywaną łagodnymi falami oceanu. Za wyrzuconymi na brzeg pniakami widzę mizdrzącą się do siebie parę. Śmieją się, a ciepły wiatr niesie ich szczebiot.

To okazja. Być może jedyna i niepowtarzalna. Staram się jej nie analizować, by nie pogрузić się w katalogu zysków oraz strat. Wtedy pojawia się zbyt wiele myśli. Trzeba się umieć od nich uwolnić.

Chciałem tego od dawna. Postanowiłem, że wreszcie to zrobię i przez ostatnie tygodnie dopracowywałem każdy szczegół. To miejsce jest idealne.

Odwracam się, po czym uważnie się rozglądam. W zasięgu wzroku nie ma nikogo. Mam wolną drogę, a jedynym zabudowaniem w promieniu pół mili jest pusta chata na wzniesieniu. Od Lompoc, małej kalifornijskiej miejsciny, dzieli mnie kilkanaście minut drogi autem. Większość ludzi udaje się na bliższe plaże, ale zdarza się, że kochankowie marzący o intymności trafiają właśnie tutaj.

Przeciągam dłonią po linie. Mam ją schowaną pod marynarką, po drugiej stronie od kabury. To mocna rybacka lina, którą kupiłem w sklepie w San Francisco. Nikt nigdy nie dojdzie, gdzie dokładnie. Podobne można kupić w dziesiątkach miejsc. Nie różnią się kompletnie niczym – sprawdzałem nawet ich skład. Weryfikowałem powszechność użytych barwników oraz rodzaj splotu. Jestem perfekcjonistą.

Wyciągam pistolet i przyśpieszam kroku. Czuję narastający niepokój oraz ekscytację. Już nie ma drogi odwrotu.

Wychodzę zza pniaków, po czym unoszę broń. Spoglądam prosto w oczy ciemnowłosego osiemnastoletniego chłopaka. Jego spojrzenie kieruje się ku mojemu pistoletowi. Towarzysząca mu dziewczyna jeszcze niczego nie rozumie. Jest odwrócona do mnie plecami i nadal chichocze. Wkrótce mina jej zrzędnie.

– Nie próbujcie uciekać – rzucam ostro.

Teraz dziewczyna odwraca się i zamiera w bezruchu. Wytrzeszcza duże błękitne oczy. Jej usta pozostają otwarte, wyrażają kompletne zdumienie.

– Proszę pana, czy... – odzywa się chłopak.

– Zamknij się.

Rzucam ku niemu linę, wciąż mierząc z pistoletu w jego głowę.

– Zwiąż swoją ukochaną – nakazuję. – Natychmiast. Wasza randka nabiera rumieńców.

Ten tekst wymyśliłem przed paroma godzinami. Uśmiecham się, widząc, jakie wrażenie wywarł na nastolatkach. Aby pośpieszyć chłopaka, kładę palec na spuście.

– A może powinienem wystrzelić? Wasze głupie miny przyprawiają mnie o szaleństwo.

3.

Sprawdzam, czy chłopak naprawdę zawiązał węzeł na nadgarstkach dziewczyny, i z uznaniem kiwam głową.

– Dobra robota. – Odwracam się do niego, wciąż zaciskając palce na rękojeści pistoletu. – Teraz ją zakneblujesz.

– Proszę, nie... – jęczy nastolatka. – Błagam...

Głośno pociąga nosem, po czym wybucha płaczem. Trzęsie się, jakby miała padaczkę. Stukot jej zębów wybija się ponad szum fal. Wieczorny wiatr staje się coraz mocniejszy.

Kiedy pisałem pierwsze opowiadania o morderstwach, ofiary zawsze krzyczały. Tymczasem nastolatka robi wszystko, aby się uciszyć. Zwiesza głowę i nadal niczym mantrę powtarza:

– Proszę, proszę...

Jej chłopak spogląda na mnie niepewnie. Jego twarz wydłużyla się, oczy zaszklily, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

– Czego pan chce? – pyta drżącym głosem. – Nie mamy pieniędzy... Po prostu kochamy się i chcieliśmy spędzić tu trochę czasu. Proszę nas puścić, o niczym nikomu nie powiemy...

Tak, podobnej gadki się spodziewałem. Chłopak wylewa z siebie cały potok idiotycznych słów. Usiłuje mi się przypodobać, a kolejne tłumaczenia wybijają z niego niczym fekalia z uszkodzonej rury kanalizacyjnej.

– Nie zrobię wam krzywdy – przerywam mu łagodnie. – Nie bój się. Naprawdę, nie musicie się bać.

Dziewczyna podnosi głowę i spogląda na mnie z nadzieją. Chłopak wypuszcza powietrze.

– Zabijając kogoś, krzywdzi się tylko jego bliskich, prawda? – pytam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Dlatego zabiję was oboje. Nie martwcie się.

Ten tekst też przygotowałem już wcześniej. Rzeczywistość niemal w pełni odpowiada mojemu wyobrażeniu. To budujące.

Nastolatka ponownie wybucha szlochem. Kochaś zwiesza głowę i zaciska pięści. Nagle jednak pada na kolana, po czym dotyka pleców swojej dziewczyny.

– Jak mam ją zakneblować? – pyta zrezygnowany. – Czym?

– Tym. – Sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki po cieńszy sznurek. W domu sprawdziłem, że mając go w ustach, nie jest się w stanie krzyczeć. Przy nadmiernym ruchu można sobie rozciąć skórę.

Aby go wyjąć, muszę puścić rękojęć pistoletu. Kiedy tylko to robię, chłopak jakimś sposobem poluzowuje więzy na nadgarstkach dziewczyny i gwałtownie się podrywa.

– Uciekaj! – krzyczy, rzuciwszy garść piasku prosto w moje oczy. – Uciekaj, Linda!

– Cholera – cedzę. – Ty idioto...

Kilkukrotnie mrugam, po czym zmuszam się do otwarcia oczu. Ziarenka piasku je drażnią, lecz nie mam wyboru. Właściwie taki rozwój wydarzeń również wydawał mi się prawdopodobny. Jestem tym

niemal rozczarowany. Tak bardzo chciałem, żeby gówniarz mnie czymś zaskoczył. Czy on naprawdę myślał, że nie zwrócę uwagi na banalny węzeł, który zrobił na nadgarstkach dziewczyny?

Wyciągam z kabury pistolet. Ręce delikatnie mi drżą, w końcu jeszcze nigdy nie strzelałem do takiego celu. Chłopak i dziewczyna pędzą po plaży prosto przed siebie. Są o kilkanaście metrów ode mnie. Cóż...

Oddaję dwa strzały. Nastolatek jako pierwszy wali się na piasek.

Potem strzelam jeszcze cztero- albo pięciokrotnie. Któraś z kul dosięga dziewczyny, lecz ta, skulona niczym ranne zwierzę, biegnie dalej. Nagle staje jak wryta. Ułamek sekundy później osuwa się na kolana, po czym pada na twarz.

– Zamierzacie udawać martwych? – Parskam śmiechem. – Zaraz się przekonamy, czy potraficie.

Powoli podchodzę do leżącego na boku nastolatka i mierzę mu prosto w pierś. Chłopak dyszy, ale zdaje się, że jest już nieprzytomny. Mimo to oddaję dwa strzały. Kule z głuchym płaskiem wbijają się w jego ciało i masakrują organy wewnętrzne. Siła rażenia zapewne rozerwała mu właśnie serce. W jego mózgu zachodzą gwałtowne procesy, odnotowywane u większości umierających. Jego źrenice zwężają się, mięśnie

drżą agonalnie, a fala endorfin być może przynosi kojące wizje.

Strzelam raz jeszcze.

Teraz mam pewność. Moja pierwsza ofiara jest martwa.

4.

Muszę zawlec ciała do małej chaty rybackiej zbudowanej na skraju niewielkiego wzniesienia. Od miejsca, gdzie zastrzeliłem tych dzieciaków, dzieli mnie niespełna sto pięćdziesiąt jardów.

Trzymając dziewczynę za nogi, wlokę ją po plaży. Jest już całkowicie ciemno, wiatr od morza jeszcze się nasilił, a fale z pluskiem obmywają brzeg. Muszę stawiać krótkie, mocne kroki, zapierając się o sypki piasek. Zostawiam za sobą ślad niczym wąż pełzający po plaży. Trudno. Zapewne do rana i tak on zniknie. Bryza zatrze nie tylko ślady ciała, ale również krwi wsiąkniętej w piasek. A do tego czasu z pewnością nikt ich nie odkryje.

Zastanawiam się, co teraz czuję. Spodziewałem się euforii albo upojenia podobnego do tego, jakie przeżywa się po wypiciu butelki whisky.

Nie. To coś całkowicie innego.

„Mam nadzieję, że dobrze się bawicie, próbując mnie złapać. (...) Nie boję się komory gazowej, bo szybciej wyśle mnie do raju. Ponieważ mam teraz wystarczająco dużo niewolników, którzy pracują dla mnie, a wszyscy inni nie mają nic, gdy trafiają do raju, więc boją się śmierci. Ja się nie boję, bo wiem, że moje nowe życie będzie łatwe w rajskiej śmierci”.

ZODIAK. NAJBARDZIEJ TAJEMNICZY SERYJNY MORDERCA.

Nawiązał makabryczną grę z policją oraz z całym społeczeństwem. Pragnął, by na Amerykę padł paraliżujący strach.

Zabijał, wysyłał szyfry i upiorne kartki pocztowe. Mamił, wodził, groził. Domagał się uwagi oraz umieszczania wzmianek o sobie w poczytnych gazetach. Stał się ikoną popkultury, choć jego tożsamość oraz prawdziwe motywacje pozostawały nieodgadnione.

„Lubię zabijać ludzi, bo to świetna zabawa. To zabawniejsze niż polowanie w lesie na dzikie zwierzęta, bo człowiek jest najniebezpieczniejszym ze wszystkich zwierząt. Zabijanie dostarcza mi najbardziej ekscytujących doznań”.

LICZBA OFIAR ZODIAKA POZOSTAJE NIEZNANA.

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl



FILIA

NA FAKTACH

ISBN 978-83-8357-492-9

